

**ŁUKASZ WASILEWSKI**



**oddawaj różdżkę**  
**PHONG!**

Łukasz Wasilewski

Oddawaj różdżkę,  
**Phong!**

© Copyright by Łukasz Wasilewski & e-bookowo

Grafika na okładce: Łukasz Juńczyk, Małgorzata Szymańska

Projekt okładki: Łukasz Juńczyk

Korekta: Patrycja Żurek, Maciej Szczepański

ISBN druk 978-83-7859-451-2

ISBN e-book 978-83-7859-383-6

Strona autorska:

[www.lukaszwasilewski.pl](http://www.lukaszwasilewski.pl)

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)

Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2015

Dla Ani, która nie wierzy w Kryształowe Czaszki.

## Rozdział 1

– Dwa tygodnie. Ma pani dwa tygodnie.

Zabrzmiało jak wyrok.

Po wypowiedzeniu złowróżbnych słów Robert Wawrzyński spokojnie rozsiadł się w skórzanym fotelu. Przeczesał ręką szpakowate włosy i przygotował się na kontrę. Bo kontra musiała nastąpić. Traktował ją jednak jak nieznośnego komara, który wprawdzie nie może zaszkodzić, ale z którym trzeba sobie poradzić.

– Ma pani dwa tygodnie – powtórzył, po czym odłożył na drewniany blat długopis, którym bawił się przez ostatnie minuty – i za dokładnie czternaście dni oczekuję, że na moim biurku pojawi się świeżutki maszynopis.

Na te słowa na twarzy jego rozmówczyni wymalowało się przerażenie.

– To niemożliwe! – odpowiedziała natychmiast śliczna dziewczyna. – Zostało jeszcze prawie sto stron do napisania, a przecież muszę jeszcze cały felieton skończyć...

– I odpisać na maile od fanów – wtrącił Wawrzyński. – Oczywiście na wybrane maile, jeśli wie pani, o czym mówię. – Mrugnął porozumiewawczo.

– Co...? Nie, nie rozumiem! Wymagacie niemożliwego – dodała ciszej i nerwowo zaczesła brązowe włosy za ucho. – Poza tym po co się z tym wszystkim tak spieszyć? Chyba liczy się jakość i...

Wawrzyński z trudem stłumił westchnięcie. Zawsze to samo. Szkoda, że nie ma drogi na skróty – pomyślał. Ale czuł się pewnie. Wprawny obserwator zauważyłby na jego twarzy cień wątpliwości. Szybko zostały jednak przegnane przez niezachwianą wiarę we własną potęgę. Potęgę szefa jednego z największych polskich wydawnictw. W dodatku był na swoim terytorium.

Przestronny gabinet onieśmiał. Wypełniały go dziesiątki książek i kolonialnych mebli. W rogu czaił się otwierany globus, skrywający butelkę Macallana i tylko jedną szklankę – Wawrzyński nie musiał udawać, że kogoś lubi. W gabinecie panował antykwaryczny klimat, ale brakowało przytulności. Powietrze było gęste od napięcia.

– Niech pani posłucha – Wawrzyński kolejny raz przerwał wywód

swojej rozmówczyni. – Liczy się czas. My tu już mamy wszystko zaplanowane. Potrzebujemy pani nowej książki za dwa tygodnie. Miesiąc zajmie redagowanie i korekta. Do tego dochodzi czas potrzebny na skład i przygotowanie okładki. I oczywiście marketing. Już mamy zaplanowaną prawie całą kampanię promocyjną. To będzie coś wielkiego! – zakończył triumfująco. – Ale musimy z tym wszystkim ruszyć za najpóźniej – podkreślił ostatnie słowo – dwa tygodnie. Wtedy książka wyląduje na półkach wszystkich księgarni w Polsce paręnaście dni przed Bożym Narodzeniem. Chyba pani wie, co to oznacza, prawda? – W jego oczach niemalże zmaterializowały się małe symbole amerykańskich dolarów. Położył ręce na biurku i zbliżył się nieco do wyraźnie zestresowanej dziewczyny. – Pani debiut był spektakularnym sukcesem, musimy kuć żelazo póki gorące.

– Ale przecież wydaliście mnie tylko ze względu na nazwisko! – Zosia Grochola wykrzyknęła w twarz próbującemu ją zauroczyć Wawrzyńskiemu. – Miałam szczęście.

Z twarzy szefa wydawnictwa szybko zniknął wyćwiczony, ale serdeczny uśmiech. Odchylił się w fotelu, westchnął znudzony, po czym spojrział na swoją rozmówczynię.

– Nie, pani Zosiu. PRZECZYTALIŚMY pani powieść ze względu na nazwisko. Ale wydaliśmy ją, bo była świetna, a te sto trzydzieści tysięcy czytelników chyba się z nami zgadza. Niech mnie pani posłucha. Ma pani talent, niesamowicie lekkie pióro, a ludzie zapłacą każde pieniądze, żeby przeczytać chociaż kilka zdań, które wyszły spod pani palców. W dodatku kreatywnością i płodnością przebija pani każdego naszego autora. Dzięki pani czują presję i wreszcie pracują, cholerne nieroby, a nie objijają się miesiącami. I doskonale wiem, że w ciągu dwóch tygodni spokojnie napisze pani nie sto stron, a dwieście, a jedyną osobą, która będzie narzekała na ich jakość, będzie pani – dał jej moment na przetrwanie niespodziewanego monologu. – Lud panią kocha, że się tak wyrażę. Media panią kochają. Ja panią kocham... platonicznie, rzecz jasna – dodał, ale jakby nieco zbyt szybko. – Czy pani tego chce, czy nie, już jest pani gwiazdą. Gwiazdą, na którą ten kraj czekał od wielu, wielu lat. W dodatku jest pani ceniona za pracę, doskonałą twórczość. Za nic innego – zapewnił gorliwie, gdy zauważył, że zbiera się do przerwania jego wystudiowanej przemowy. – Potrzebujemy... ten kraj pani potrzebuje.

Zosia nie wiedziała, co powiedzieć. Nie dlatego, że przemówienie Wawrzyńskiego (chyba wzorowane na amerykańskich filmach klasy B) zrobiło na niej tak wielkie wrażenie. Co prawda nie mogła przed samą

sobą ukryć, że przyjemnie się tego słuchało, ale nic ponad to. Nie poczuła się nagle wyczekiwaną zbawicielką narodu. Brakowało jej jednak słów – zdawała sobie sprawę, że opór był bezcelowy, a tę bitwę przegrała, zanim się w ogóle zaczęła.

Zadowolony z siebie Wawrzyński obserwował siedzącą naprzeciwko niewysoką dziewczynę. Wreszcie przerwał przedłużającą się ciszę:

– No, to chyba możemy uznać spotkanie za skończone – powiedział i wstał. – Do zobaczenia za dwa tygodnie.

Nieco zrezygnowana Zosia również wstała. Chciała coś powiedzieć, ale ostatecznie tylko kiwnęła głową i poczłapała w kierunku drzwi.

Warto zauważyć, że jedyną osobą, która zosiowy odwrót z podkulonym ogonem uznała za człapanie była sama Zosia. Wawrzyński oraz dotychczas niemi bohaterowie dramatu, dwaj zbliżający się do trzydziestki mężczyźni, z uwielbieniem w spojrzeniu obserwowali jej rytmicznie kołyszące się zaokrąglone biodra. Nie mogli oderwać wzroku od niezwykle kobiecej sylwetki, a gdy Zosia ostatecznie zniknęła z ich pola widzenia, powrót do rzeczywistości zajął im dobrych parę sekund. Nie tylko szef oficyny i jego dwóch sługusów pożerali wzrokiem równie utalentowaną, co urodziwą pisarkę – w gabinecie od początku spotkania przebywała też główna redaktorka wydawnictwa i chociaż od lat była szczęśliwą mężatką, to jakaś tajemnicza siła kazała jej śledzić każdy ruch i gest Zosi.

Pierwszy odezwał się jeden z napuszonych sługusów o twarzy pasującej do pospolitego Stefana, który jednak lubił, gdy zwracano się do niego drugim imieniem: Gustaw.

– Dobrze, że jej szef nie powiedział, że chcieliśmy umieścić jej zdjęcie na okładce nie dlatego, że jest „taka sympatyczna”, tylko żeby książkę kupowali też faceci.

Wawrzyński uśmiechnął się chytrze.

– Eh, do dzisiaj żałuję, że nie zgodziła się na sesję w bikini – mruknął rozmarzonym głosem.

Dotychczas milcząca kobieta spojrzała z dezaprobatą na kolegów.

– No wiecie co? Przecież to była... jest świetna powieść. Wciągająca fabuła, rewelacyjnie napisana i do tego naprawdę zabawna. Nie potrzebowała takich tanich chwytów, żeby stać się bestsellerem.

Wszyscy zgromadzeni w pokoju mężczyźni zwrócili się w jej kierunku, a w ich oczach można było dostrzec przede wszystkim rozbawienie. Głos znowu zabrał Stefan:

– Tyle lat po ślubie, a widać, że wciąż nie rozumiesz facetów.

Dopiero gdy wydostała się z wielkiej siedziby wydawnictwa, Zosia mogła głęboko odetchnąć. Nie znaczyło to jednak, że troski nagle zniknęły. Było wręcz przeciwnie, bo zdała sobie sprawę, że przyszła wywalczyć jeszcze parę tygodni, a wyszła chwilę po tym, jak milcząco zgodziła się na morderczy termin. Zła na siebie pokręciła głowę, wygładziła stonowaną sukienkę w kwieciste wzory i, przytłoczona sytuacją, skierowała się ku przystankowi autobusowemu. Bez entuzjazmu rozpoczęła kilkuminutowy spacer.

Jak zawsze skupiała na sobie spojrzenia dziesiątek mężczyzn. Zgadzała, że bezczelnie się jej przyglądali tylko dlatego, że widzieli kiedyś jej zdjęcie w jakimś piśmie, a może na tej nieszczęsnej okładce książki. Niepotrzebnie się na to zgodziłam? – pomyślała.

Chociaż za obecną sytuację głównie obwiniała niechcianą sławę, wiedziała, że było to zbyt duże uproszczenie. W końcu rok wcześniej mężczyźni reagowali na nią podobnie. Nie wiedziała, co działo się w ich głowach, ale mogła się domyślać, że „winne” było ciało i niezwykle seksowna figura. I ten głupi biust – dodała nieszczególnie szczęśliwa.

Kiedyś wydatny biust ją cieszył, ale nie trwało to długo, bo szybko zaczęły jej go zazdrościć koleżanki, a ich zawistne spojrzenia i szeptane komentarze stały się nie do zniesienia. Mężczyźni nie byli lepsi. Nie zazdrościli krągłych, szalenie kobiecych piersi, ale za to gapili się tak bezceremonialnie, jakby była jakimś towarem, który każdy mógł do woli oglądać. Dobrze, że ograniczali się do oglądania.

Kobiety uważały, że wszystko zawdzięcza wyglądowi, a mężczyźni nawet nie udawali, że liczy się to, co ma w głowie. I chociaż uwielbiała dziewczęcy styl ubierania, to z niego zrezygnowała. W stonowanych kolorach i strojach z małym dekoltem wyglądała świetnie i czuła się dobrze, ale nie mogła pogodzić się z tym, że o jej wyglądzie tak naprawdę decydowali inni.

Kolejny raz potrząsnęła głową i odrzuciła nieprzyjemne myśli. Nie warto było się tym przejmować. Zamiast unikać spojrzeń, odwdzięczała się tak serdecznym uśmiechem, że większość namolnych facetów momentalnie się peszyła i na wiele dni przechodziła im ochota na zuchwałę obłapanie wzrokiem.

Zosia powróciła myślami do teraźniejszych spraw. Chociaż zarzekała się, że potrzebuje więcej czasu, to jednocześnie zdawała sobie sprawę, że jest w stanie ze wszystkim zdążyć. Wiedziała jednak, ile będzie ją to kosz-



towało i jak będzie wyglądało jej życie w najbliższych tygodniach. Nie była to przyjemna wizja i brakowało w niej miejsca na zwiedzanie nowo otwartych rodzinnych knajpek – zajęcia, które wprost ubóstwiała.

Rozmyślała nad rozdziałem, który planowała dzisiaj napisać, gdy dotarło do niej ciche wołanie. Początkowo je zignorowała, ale słowa były coraz wyraźniejsze i coraz bardziej do niej skierowane. Wreszcie spojrzała w prawo i zauważyła zbliżającego się chłopaka.

Pierwszą myślą było: nieuczesany. Dopiero potem potraktowała go jak pełnoprawnego człowieka, a nie lewitujące włosy. Miał na sobie sztruktosowe spodnie i nudny, szary T-shirt. Po chwili zauważyła, że był nie tylko nieuczesany, ale też nieogolony. Twarz miał wykrzywioną w szelmowskim uśmiechu.

Podszedł szybkim krokiem.

– Hej – powiedział w ramach powitania.

Zosia spojrzała na niego podejrzliwie, nieco zwolniła, ale się nie zatrzymała.

– Tak się zastanawiałem... – kontynuował nieznajomy. – Ile razy już cię ktoś rysował? No przyznaj się, ile trzymasz w domu portretów? – zapytał z uśmiechem.

Zosia po raz kolejny na niego spojrzała. Tym razem z nieco większym zaciekawieniem. Przez moment zastanawiała się nad odpowiedzią, ale chłopak najwyraźniej wcale nie czekał na reakcję.

– Wiesz, w twoich rysach jest coś ujmującego i naprawdę czarującego.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– A jak się uśmiechasz, to jest w tym też coś tajemniczego. Jakby każdy uśmiech dla większości był nic nieznaczącym gestem, a dla wybranych słodką obietnicą... – nie przestawał mówić. – Specjalnie tak robisz? Stoisz w domu przed lustrem i ćwiczysz?

W każdej innej sytuacji pewnie by się obraziła za sugerowanie, że para się manipulacją, ale nie tym razem. Wiedziała, że nieznajomy szatyn tylko się przekomarza.

– Gdybym tylko umiał rysować, twój kolejny portret już by powstawał – dopowiedział.

Nie mogła dłużej ignorować przypadkowego rozmówcy.

– Każdej dziewczynie tak mówisz? – zapytała od niechcienia, ale wciąż się nie zatrzymywała.

– Oj nie – odpowiedział natychmiast. – Tylko tym, które naprawdę chciałbym narysować.

Zosia zmrzyła oczy. Nieznajomy nie był w jej typie, ale czy to było takie ważne? W końcu Woody Allen jest zniewalający, a urodą też nie powala i raczej nigdy nie powalał.

– Dziękuję za komplement – powiedziała wreszcie, zdecydowanie bardziej oficjalnie, niż planowała.

– Cała przyjemność po mojej stronie. To był tylko pierwszy z serii komplementów... ale żeby usłyszeć resztę musisz mnie zaprosić na kawę.

– Ja mam ciebie zapraszać? – zdziwiła się momentalnie Zosia.

– Eh, no dobra. Ja zapraszam w takim razie. Gdzie chcesz się przejść?

– Czekał, czekał. Po pierwsze, to się na nic nie zgodziłam...

– Jeszcze – wtrącił z uśmiechem.

– ...po drugie, mam mnóstwo pracy, naprawdę mnóstwo – dodała już nie tak pewnym głosem – a po trzecie, to nawet nie wiem, jak się nazywasz.

– Nie mogę ci powiedzieć, jak się nazywam. To część mojego planu polegającego na byciu tajemniczym.

Nagle chłopak wskoczył przed powoli idącą Zosię.

– Spójrz mi w oczy i powiedz, czy widzisz tam coś na tyle niepokojącego, żeby nie móc ze mną rozmawiać bez znajomości mojego imienia.

Zaskoczona dziewczyna stanęła jak wryta i mimowolnie posłuchała prośby. W jego oczach dostrzegła sympatię i szczerość. Nie zauważyła błysku charakterystycznego seryjnych morderców. Nie zauważyła też al-lenowskiego błysku inteligencji, ale, nieco zawstydzona swoją decyzją, postanowiła to zignorować i już nigdy do tego nie wracać. Pogodziła się z faktem, że jej rozmówcą miał być Szatyn.

– No dobrze, źle ci z oczu nie patrzy. Ale w takim razie ty mojego imienia też nie poznasz.

– Ale ja już je znam, Zosiu – natychmiast powiedział Szatyn. – Nie patrz tak na mnie, przecież teraz to trudniej znaleźć kogoś, kto cię nie zna, niż zna.

Chłopak zszedł z drogi, stanął po lewej stronie Zosi i zachęcił do kontynuowania przerwane spaceru.

– Muszę zawsze iść po lewej stronie, to silniejsze ode mnie – usprawiedliwił się.

Zosia nie miała nic przeciwko – nie znosiła mieć kogoś po prawej stronie.

– O czym to ja... A, nie będę udawał, że nie wiem, kim jesteś. Czytałem twoją powieść, widziałem kilka wywiadów w telewizji. Ale wywiadów już nie oglądam.

- Czemu? - zaciekawiała się Zosia.
- Bo są beznadziejne. Zamiast rozmawiać o naprawdę światnym debiucie, zadają pytania uwłaczające twojej inteligencji. Wstyd mi za tych gości. I oni uważają się za dziennikarzy... Mają szansę pogadać z tak fascynującą osobą, a dopytują się, kiedy się zgodzisz na jakąś rozbieraną sesję - zakończył zniesmaczony. - Ja tego błędu nie popełnię, z najwyższą przyjemnością kulturalnie sobie z tobą pokonwersuję.
- Ale jakbyś był naczelnym Playboya, to by to inaczej wyglądało, prawda? - nieco zgryźliwie zapytała Zosia.
- Ale nie jestem naczelnym, więc nawet nie gdybajmy. To co z tą kawą?
- Hmm - Zosia dała sobie chwilę do namysłu. - Powiedzmy, że nie mam ochoty, żeby natychmiast uciec, ale w kwestii pracy nic się nie zmieniło. Nie mam czasu.
- Okej, rozumiem. Czyli musi mi wystarczyć spacer. Niech będzie.
- Nie, nie... Na spacer też nie mam czasu... - Przypomniała sobie o czekających w domu dwóch tuzinach maili, które dopominały się uwagi.
- Nie akceptuję odmowy - powiedział poważnym głosem, ale nie można było tego poważnie potraktować. - To ostatnie dni ładnej pogody. Znacząco ostatnie w tym roku, a nie ogólnie ostatnie w historii ludzkości - sprecyzował. - Żał by je było zmarnować. Krótko mówiąc, wszechświat sugeruje, żebyś się zgodziła.
- Naprawdę nie mogę. I to nie tylko dzisiaj. Przez najbliższe dwa tygodnie nie ma mnie dla nikogo - dodała smutno.
- Nie wiem, czy tyle wytrzymam - stwierdził z uśmiechem Szatyn. - Może przemawia przeze mnie próżność...
- Nawet nie może, a na pewno.
- ...ale widzę, że chcesz gdzieś wyskoczyć. Wolisz kawiarnię czy masz ochotę coś zjeść? Szybka decyzja.
- Oj, zaczynasz być natarczywy - Zosia szybko ostudziła jego zapał. Po chwili milczenia Szatyn powiedział:
- Spójrzę teraz na twój biust.
- Co?! - wykrztusiła zaskoczona dziewczyna.
- Uparty Szatyn przez moment patrzył tam, gdzie większość mężczyzn patrzy najczęściej. Jednak w jego spojrzeniu nie było obrzydliwej lubieżności - zauważyła raczej swoisty szacunek dla piękna.
- Już - oznajmił po chwili.
- Co to miało znaczyć?!
- Jestem tylko facetem, nie ma co tego ukrywać.

– I?

– Przecież każda kobieta doskonale zdaje sobie sprawę, jeśli facet patrzy na jej piersi. Nie wiem, jak to robicie, ale zakładam, że macie radar i w jakiś sposób wyczuwacie każde spojrzenie. Nawet jeśli patrzycie w prawo, a facet jest po waszej lewej – dodał. – Trochę przerażająca supermoc, więc wolę uniknąć przykrych konsekwencji i jestem szczery.

– I myślisz, że takie zachowanie uchroni cię przed konsekwencjami? – Zosia dopytywała się z niedowierzaniem w głosie.

– Wciąż ze mną rozmawiasz, więc chyba nie jest tak źle – zażartował. – Zosiu, jesteś piękna. Naprawdę chętnie bym cię narysował, ale w najlepszym przypadku wyszedłby mi ludzik-patyczak, więc pozwolisz, że ograniczę się do słów. – Zrobił krótką pauzę. – A zresztą nawet ze słów zrezygnuję, bo przecież sama jesteś świadoma swojej kobiecości. No i daję głowę, że nie jestem pierwszym, który zachwyca się tym, jak wyglądasz. Ale mnie bardziej interesuje to, co masz w środku. To gdzie idziemy?

Zosia nie odpowiedziała od razu. Znowu ją zaskoczył, nie umiała powiedzieć, czy ma ochotę dać mu w twarz, czy zgodzić się na randkę.

– Ale jesteś uparty. Mam masę pracy...

– Słuchaj, może i jestem uparty, ale ktoś kiedyś powiedział, że jeśli się w coś wierzy i ma się co do czegoś pewność, to trzeba o to walczyć jak lew, bo lepiej płakać po porażce, dzielnej walce i urwanej nodze, niż cieszyć się po odwrocie w jednym kawalku.

– Kto to powiedział? – zaciekała się nagle Zosia.

– Ja.

– Hmm...

– Ej, przecież nie mówiłem, że powiedział to ktoś mądry czy coś... – skwitował z uśmiechem.

Pół godziny później wciąż szli nieśpiesznie i rozmawiali. Co jakiś czas Zosi przypominało się, że przecież nie ma czasu i wcale, ale to wcale nie chce gadać z tym beczelnym Szatynem, ale perfekcyjnie ignorowała zakneblowane sumienie.

Przeszli wspólnie pięć przystanków na piechotę. Zosia udawała, że zawsze tak chodzi, a Szatyn udawał, że jej wierzy.

W pewnym momencie wciąż bezimienny chłopak delikatnie złapał ją za rękę. Przeszedł ją dreszcz. Początkowo chciała się wyrwać. Już napiła mięśnie, gdy zdała sobie sprawę, że był to tylko jakiś niezrozumiały odruch. Przecież podobało się jej, że ten gość trzyma jej dłoń. Co prawda

gdyby ją objął w talii, dostałby pewnie w twarz, a ona uciekłaby do pobliskiego parku, ale najwyraźniej nie lubił się spieszyć i był wyczulony na subtelności. Albo nie umiał odczytywać kobiecych sygnałów – dodała w myślach.

Z drugiej strony, ciekawa rozmowa nie spowodowała, że ten nietypowy chłopak nagle zaczął być w jej typie. Nie czuła tego, co powinna czuć w takiej sytuacji, a jego nieco krzywe zęby nie pomagały. Poza tym znam go dopiero od niecałej godziny! – upomniała samą siebie. Upomnienie nie zdało się jednak na wiele, bo palce same zacisnęły się na szorstkiej, dużej dłoni Szatyna.

Kolejne minuty upływały na przyjemnym przekomarzaniu. Spacerowali jeszcze wolniej niż wcześniej. Chociaż wciąż trzymali się za ręce i najwyraźniej nikomu to nie przeszkadzało, Zosia niezmiennie trwała w swoim postanowieniu – musiała wrócić dzisiaj do domu i pracować, pracować, pracować. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że gdyby do tajemniczego Szatyna czuła coś więcej, to tak długo by się nie wahała. Było jej dobrze, bez problemu potrafił ją rozśmieszyć, a wiedziała, że nie było to łatwym zadaniem. Czuła się świetnie w jego towarzystwie. W końcu ktoś ją rozumiał, a przynajmniej rozumiał lepiej niż większość ludzi. A może to tylko gra, manipulacja? Przecież sam się przyznał, że oglądał wywiady – przypomniała sobie. Pewnie rozmowy też czytał, a do tego wyszukał wszystkie informacje na mój temat w Internecie... Odruchowo spojrzała na nieprzystającego mówić chłopaka po lewej. Nie, wiedziała, że te podejrzenia nie miały związku z rzeczywistością.

Wciąż chciał ją wyciągnąć na randkę, chociaż w zasadzie już byli na randce, tyle że dynamicznej i niezdefiniowanej. Wciąż się opierała. Była już w takich sytuacjach. Pomimo tego, że w pewnym stopniu ją zafascynował, nie czuła tego „czegoś”. Żałowała, że nie umie tego przeskoczyć.

– Słuchaj, zaczyna się robić ciemno, więc proponuję, żebyśmy spacer zakończyli w jakiejś knajpie – zaproponował Szatyn.

– Oj, nie mogę... Fajnie się rozmawia, przyznaję, ale mam tyle do zrobienia...

– Wiem, ale mówisz tak od prawie godziny, a świat jeszcze się nie zawałił.

– No właśnie. Jeszcze.

– No chooodz – mruknął przeciągle. – Chyba już zdążyłaś się zorientować, że nie mam zamiaru ustać w staraniach.

– Hmm, ale wiesz, że jak ktoś się tak ciągle stara, to w końcu to przestaje

być staraniem...

– A staje się bohaterską walką – dokończył Szatyn. – Miło, że to doceniasz.

– Co innego chciałam powiedzieć.

– Wiem, ale i tak nie przestanę się starać.

– Rozumiem. Ale ostrzegam, że jak ktoś się tak ciągle „stara”...

– Nazywajmy rzeczy po imieniu: napastuje – wtrącił Szatyn z kolejnym beczelnym uśmiechem.

– Okej, jak ktoś mnie tak ciągle napastuje, to potrafię ugryźć.

– Ale to dobrze. Bo żeby mnie ugryźć, będziesz musiała być obok mnie.

– Mogę gryźć na odległość za pomocą ciętej riposty, a to cię może jeszcze bardziej zabołec – ostrzegła.

– Rozumiem – Szatyn skopiował ton jej głosu. – No ale skoro już tu jesteśmy, to proszę bardzo: możesz mnie ugryźć. Trochę się boję, bo widać, że masz zdrowe zęby. Nawet takie trochę wampirze, więc...

– A żebyś wiedział, że to zrobię!

Zosia podniosła splecione dłonie, a gdy ręka Szatyna była już na wysokości jej twarzy, spróbowała pokazać mu złowrogie użębienie. Kompletnie się jej to jednak nie udało – nie wyglądała strasznie, a osobliwa prezentacja uzbrojenia przekształciła się w czarujący uśmiech.

Szatyn z rozbawieniem przyglądał się próbującej walczyć ze swoim użębieniem dziewczynie, po czym przyciągnął do siebie jej dłoń i delikatnie pocałował.

– Też potrafię ugryźć... gdy ktoś za długo się opiera – powiedział cicho, a głęboki głos tym razem zrobił na Zosi zupełnie inne wrażenie.

Przełknęła ślinę i poczuła, jak zaczęło się jej robić nieznośnie gorąco. Nagle uświadomiła sobie, że to nie w pracy tkwił problem. Jasne, miała mnóstwo rzeczy do napisania... ale czy to był pierwszy raz? Czy faktycznie bała się, że nie zdąży? Raczej denerwowało ją, że ktoś narzuca jej tempo. Jej! Ale da radę, zdąży. I powali ich jakością. Zresztą, jak mogłabym nie dać rady? – zapytała samą siebie. Przecież nazywam się Grochola, Zosia Grochola.

Spojrzała na Szatyna, który zdążył odsunąć dłoń od ust.

– Zapytaj jeszcze raz – powiedziała cichutko.

– O co? – odparł, w końcu nieco zaskoczony, Szatyn.

– Zapytaj jeszcze raz, czy pójde z tobą na kawę.